All communications must be addressed:

**J. F. SMULSKI & Co.**

**565 Noble St.**

CHICAGO, ILL.

**J. F. SMULSKI i Sp.**

wydawcy.




Wychodzi co czwartek.

Kosztuje rocznie $1.00 Abonenci Gazety Katolickiej płacą tylko 50 c; do Europy: z Gazetą $3.00, bez Gazety $1.50. Abonament musi być naprzód opłacony. Pokwitowań nie ogłasza się. Gaz. Katolicka sama kosztuje $2,00.

**Rok XV.** CHICAGO, ILLINOIS, 24go CZERWCA 1897 ROKU. **Nr. 25.**

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter.

Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A. Feehan z Chicago.

**Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!**

**KALENDARZ.** — Czwartek 24 Czerwca, Jana Chrz. Piątek 25 Czerwca Febronii Sobota 26 Czerwca, Jana i P. Niedziela 27 Czerwca, Władysława. Poniedziałek 28 Czerwca, Leona. Wtorek 29 Czerwca, Piotra i P. Sroda 30 Czerwca, Wsp. ś. P.

## Na Niedzielę III po Zielonych Świątkach.

*Ewangielia św. Łukasza w rozdziale XV.*

W owym czasie przybliżali się do Jezusa celnicy i grzesznicy, aby Go słuchali. I szemrali Faryzeuszowie i Doktorowie, mówiąc: Iż Ten przyjmuje grzeszników, i jada z nimi. I rzekł do nich to podobieństwo, mówiąc: Który z was człowiek, co ma sto owiec, a jeźliby stracił jednę z nich, czyliż nie zostawuje dziewięćdziesiąt i dziewięć na puszczy, a idzie za oną, co zginęła, aż ją znajdzie? A gdy ją znajdzie, kładzie na ramiona swe, radując się, i przyszedłszy do domu, zwoływa przyjaciół i sąsiadów, mówiąc im: Radujcie się ze mną, iżem znalazł owcę moję, która była zginęła. Powiadam wam, że taka będzie radość w niebie nad jednym grzesznikiem, pokutę czyniącym, niż nad dziewięćdziesiąt dziewięciu sprawiedliwymi, którzy nie potrzebują pokuty. Albo która niewiasta mając dziesięć drachm, jeźliby zgubiła jednę drachmę, iżali nie zapala świecy i wymiata domu, i szuka z pilnością, ażby znalazła? A gdy znajdzie, zwoływa przyjaciółki i sąsiadki, mówiąc: Radujcie się zemną, bom znalazła drachmę, którąm była straciła. Tak powiadam wam, radość będzie przed Aniołami Bożymi nad jednym grzesznikiem pokutę czyniącym.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

## Historya Kościoła świętego.

### Ciąg dalszy.

*Rzym podziemny.*

Religia Chrystusowa nakazuje oprócz Boga także i bliźniego kochać, jak siebie samego. Pierwsi chrześcianie zadziwiali tą cnotą pogan, którzy tak pięknego przykazania nie mieli. Chrześcianie miłowali nie tylko przyjaciół, ale nawet wrogów, a za swych katów się modlili.

Najprzód mówić będziemy o miłości rodziców ku dzieciom i dzieci ku rodzicom, potem o miłości małżeńskiej, o miłości w rodzinie, na końcu o miłości ku wszystkim ludziom, a nawet wrogom.

Poganie wyrzucali często własne dzieci na pożarcie dzikim zwierzętom, aby nie miec z niemi kłopotu; chrześciańscy rodzice pielęgnowali starannie swe dziatki i wychowywali je w świętej wierze, wiedzieli oni, że ich dziatki są zarazem dziećmi Boga i że będą musieli zdać kiedyś przed Bogiem za nie rachunek, to też ciągle się ich wychowaniem zajmowali, uczyli je nauki Kościoła św. i przyzwyczajali do naśladowania Chrystusa. Św. Hieronim uczy, że albo powinni chrześcianie wszystkiemi siłami pracować nad wychowaniem dzieci, albo wcale do stanu małżeńskiego nie wstępować. Matka powinna najpierw nauczyć swe dziecię wymawiać imię Boga, kiedy podrasta, powinna najpierw nauczyć je śpiewać pieśni religijne, psalmy, objaśniać mu takowe, a potem dopiero idzie wiedza świecka; a nie tak, jak teraz robią często rodzice, że obciążają swe dzieci szkodliwemi naukami, pogańskiemi

poezyami, a religią za nic mają. Tacy bezbożni rodzice tłómaczą się tem, że lepiej nauczyć dzieci zawczasu tego, czego później same się nauczyć muszą; ale tak nie jest, bo jeśli dziecko zawczasu pozna złe rzeczy, to się popsuje, zanim jeszcze zdrową naukę Chrystusa pojęło.

Rodzice chrześciańscy nie dali nigdy próżnować swym dzieciom, bo jak je wychowią, takiemi one będą; zajmowali je ciągle pobożnymi ćwiczeniami i pracą, czuwali nad każdym ich postępkiem, nad zabawami, nad ubraniem, nad jedzeniem. Przedewszystkiem chodziło rodzicom o zbawienie wieczne dzieci i chętnie ofiarowali ich życie doczesne, jeśli chodziło o duszę, to też cieszyli się bardzo, jeśli ich dziecko poniosło śmierć męczeńską za wiarę.

Z drugiej strony dzieci miłowały swych rodziców, starały się wypełniać ich wolę, dopomagać im ze wszystkich sił, kiedy przypadkiem byli ich rodzice poganami, błagały Boga za nimi, aby ich swą łaską oświecił, a chociaż się tacy rodzice często mścili na nich to one Bogu swe życie w ofierze za nich składały: jeżeli jednak rodzice kazali im czynić co takiego, co Boga obraża, natenczas dzieci ich nie słuchały.

Tak się też kochali małżonkowie czystą miłością chrześciańską, zachęcali się wzajemnie do cnoty, umacniali się wśród mąk strasznych, aby jedno lub drugie nie odpadło od wiary.

Tak się też kochali bracia i siostry, a miłość ta nie kończyła się ze śmiercią jednego z nich, i jak za życia najbardziej obawiali się tego, aby ich dusze na wieki nie były rozłączone, tak jeśli jedno z nich umarło, to pozostali modlili się za duszę drogiej osoby.

Taką była rodzina u pierwszych chrześcian, dziś jest inaczej, dzisiaj zajmują się matki gospodarstwem więcej i wszystkiem innem, tylko nie chrześciańskiem wychowaniem dziatek. Jednak i dzisiaj znajdują się pobożne matki, jak mamy przykład na pewnej pani imieniem Acarie z Francyi. Dzieci jej doskonale zasady wiary umiały, najmilszą rozrywką dla niej było wpajać w te dzieci miłość ku Bogu i bliźnim. "O tyle, — mówiła do nich, — was kochać będę, o ile wy Boga kochać będziecie." Wszystko przebaczyła dzieciom, tylko kłamstwa i w ogóle grzechu nigdy, gdyż to jest największem złem. Dzieci musiały żyć w największej zgodzie, gdyż lepiej jest ustąpić drugiemu, niźli się kłócić, musiały się dobrze obchodzić ze sługami i grzecznie się do nich odzywać. Przyzwyczajała ta pani swe dzieci do punktualnego posłuszeństwa, wystawiała je często na próby, a córki dorosłe spełniały jej rozkazy, czasem przykre, ochotnie bez najmniejszego szemrania. Przyzwyczajała ona dzieci do umartwienia w jedzeniu i ubraniu, jadły one jedną tylko potrawę na obiad, a nie wolno było im w czemkolwiek bredzić. Matka ta pobożna uczyła swe dzieci pokory, jeśli widziała, że które z nich staje się zarozumialszem, kazała mu wykonywać lichsze roboty, aby dumę ukrócić. W domu panował ład i porządek, czas był na wszystko oznaczony, na wstawanie, na modlitwę, na rozmyślanie, na pracę i odpoczynek. Rano szły dzieci na Mszę św. codziennie, gdzie się tylko znajdowały, wszędzie czuwało nad niemi czułe oko macierzyńskie, jeśli w czem pobłądziły bez złej woli, chętnie przebaczała, nie traktowała ich zanadto surowo, ale nie pieściła, lecz zawsze poważnie i roztropnie prowadziła je, mając na myśli ich cel ostateczny. Ze słyszanych nauk, kazań i wszelkich czynności musiały zdawać sprawę. Dzień kończył się czytaniem Żywotów Świętych, modlitwami i rachunkiem sumienia. Roztropna matka dbała także i o doczesne dobro swych dzieci. Taka praca wydała świetne owoce, trzy jej córki wstąpiły do klasztoru, synowie zaś piastowali wysokie godności kościelne.

Pierwsi chrześcianie tak się wszyscy miłowali, że się poganie temu dosyć nadziwić nie mogli, uważali się oni zawsze za wielką rodzinę, za dzieci jednego Ojca niebieskiego, bogatsi utrzymywali ubogich z dobrowolnych składek, każdy gotów był życie swe za drugiego ofiarować, a jeśli jaki chrześcianin został od pogan pojmany i osadzony w więzieniu, natenczas inni przychodzili z dalekich stron i zachęcali uwięzionego, aby zniósł wszystkie męczarnie dla Chrystusa i modlili się za niego. Chrześcianie tak byli połączeni ze sobą wzajemną miłością, jak członki jednego ciała; niechno palec, lub inny członek zaboli, a wszystkie inne członki to czują i starają się ból usunąć; tak wszyscy chrześcianie współczują boleści pojedyńczych członków; spieszą ratować ubogich, pocieszać nędznych i umierających, leczyć chorych; lecz na tem nie koniec, miłość ta obejmuje nietylko chrześcian, ale nawet pogan, największych nieprzyjaciół; podczas zarazy narażają chrześcianie życie własne, a zbierają wyrzuconych na ulicę chorych pogan i zanoszą do swych domów; zbierają wyrzucone dzieci i za swoje przyjmują, a przy każdym kościele są osobni dyakoni, którzy się trudnią rozdzielaniem zebranej jałmużny tak pomiędzy pogan jak i chrześcian.

Chrześcianie odznaczali się nadzwyczajną gościnnością, tak że nieraz przybył z obcych stron chrześcianin na krótki czas, a przyjmowano go jako swego przyjaciela i to nie tylko chrześcianina, ale nawet poganina.

Niektórzy sprzedawali cały swój majątek, a nabyte pieniądze rozdali ubogim, niektórzy nawet sami się w niewolę zaprzedawali, aby uzyskane pieniądze rozdać nędznym braciom. Takiemi cnotami zadziwiali pogan, ci więc myśleli, że musi to piękna i prawdziwa wiara być, która im takie rzeczy nakazuje i tłumnie nawracali się.

Jeżeli tak chrześcianie ratowali potrzeby ciała, to tembardziej troszczyli się o potrzeby duszy bliźniego; ciągle się modlili za grzeszników, heretyków i ofiarowali swoje posty i cierpienia za nawrócenie swych prześladowców.

Chrześcianie byli posłuszni wszelkiej władzy, jeśli ta im coś woli Bożej przeciwnego nie nakazywała; płacili chętnie i regularnie podatki, byli dobrymi żołnierzami i modlili się za owych okrutnych monarchów.

Nadzwyczajną też czcią otaczali chrześcianie umarłych, grzebali ich uroczyście i modlić się za nimi nie ustawali.

Dalszy ciąg nastąpi.

# KRZYŻ NADWIŚLAŃSKI.

Powieść LEONA K....

Ciąg dalszy.

II.

Już parę godzin po zachodzie słońca i jasny księżyc czysto patrzał z obłoków, kiedy młody Kazimierz z panem Grzegorzem ze strzelbami na ramieniu, szli drogą od dworu w stronę, gdzie niedawno znajdował się nieznajomy podróżny. Powietrze ciche, spokojne zdawało się sprzyjać temu nocnemu polowaniu. W chatach wieśniaczych już ognie dawno pogasły, tylko w oknach dworu błyskały światła niepewne, cisza zaległa doliny, psy niekiedy zaszczekały, przebudzone krokami myśliwych, niekiedy koniki polne odezwały się w trawie ze śpiewem swoim jednostajnym.

Zapewne urok tego spokojnego cudnego wieczora obudził w sercu młodego Kazimierza to usposobienie na wpół słodkie, na wpół rzewne, któremu się oprzeć trudno, postępował wolno obok swego towarzysza, nieprzerywając rozmową głębokiego milczenia. Ale młodzieniec nie lubił widać po-

grążać się w marzeniach, bo niedługo odezwał się ze zwyczajną sobie wesołością:

— Jakże panie Grzegorzu, wszak nie wrócimy z próżnemi rękoma. — Matka i Marynia niepokoją się, ile razy w nocy wyjdę — ręczę, że spać nie będą, póki nie wrócimy — żeby choć sarnę przynieść można ...

— Kiedy bo niecierpliwy jesteś mój Kaziu — powiadam ci, że musimy spotkać dwie kozy i rogacza, bom je wytropił na łące koło czarnego krzyża.

— Koło czarnego krzyża — powtórzył młodzieniec z lekkiem wzruszeniem — nie wiem dla czego, ale to miejsce szczególniej w wieczór robi na mnie niemiłe wrażenie.

— O! dziecko jesteś, odrzekł krótko pan Grzegórz.

— Mówiłeś mi pan, żeś tam dziś spotkał jakiegoś podróżnego.

— Tak jest, jakiś młody człowiek przechodził tędy, udaje się za Wisłę do krewnych, jak powiadał.

— Wspominałeś mi pan, żeś go zastał modlącego przy krzyżu, podobno mówił z panem o nieszczęśliwym wypadku.... o tem zabójstwie?....

— Tak, była o tem mowa, odrzekł starzec.

— Pewnie dawał wiarę niegodnym wieściom, które potwarz rozsiała na potępienie mojego ojca.... o! kiedy sobie pomyślę, że są ludzie, którzy mogą mego dobrego szlachetnego ojca nazwać zabójcą, to mnie prawie rozpacz ogarnia, a ten młody Linowski, któremu od dzieciństwa nakładziono tę potwarz w uszy, który jej wierzy podobno, ach! gdybym go mógł kiedy w życiu zobaczyć i przekonać.

Młodzieniec wpadł w zamyślenie i obaj myśliwi postępowali w milczeniu, drogą śród gaju, którą księżyc jasno przed nimi oświecał, zbliżając się coraz bardziej do czarnego krzyża. — Kazimierz stanął.

— Nie słyszałeś pan czego? zapytał cichym głosem.

— Nie.... może ptak zerwał się z drzewa.

— Zdawało mi się, jakby ktoś szedł za nami.

— Wstydź się Kaziu, jesteś bojaźliwy jak dziewczyna.

— Doprawdy, przecież tchórzem nie jestem, ale w tem miejscu i o tej porze nie mogę obojętnie przechodzić.

— Dzieciństwo, odrzekł Grzegórz, marszcząc brwi.... no, otóż przyszliśmy na stanowisko.... zostań tutaj za tym dębem — tylko cicho — ja stanę przy wychodzie z lasu, sarny wyjdą na ciebie.... wtedy baczność, a bez gorączki, a wszystko pójdzie dobrze....

— Miejsce na którem się znajdowali teraz, było to samo, gdzie pan Grzegórz spotkał młodego podróżnego, była to nie wielka łąka, zarośnięta tu i owdzie pojedyńczo stojącemi drzewami, przerznięta małym strumieniem, który dążył do Wisły. Kazimierz oświecony blaskiem księżyca, stał ukryty za drzewem, pod którem go pan Grzegórz umieścił. — Choć oczy zwracał ku stronie, z której wedle przepowiedni starego myśliwca sarny pokazać się miały, raz po raz jednak poglądał z niespokojnością ku czarnemu krzyżowi, co się wznosił po nad ciemne brzozy o kilkanaście kroków od niego. — Zdawało mu się, że w tej stronie słyszy cichy nieznaczny szelest, a później stłumiony łoskot, jaki wydaje broń przy odwodzeniu kurka, byłby może pobiegł w tę stronę, aby się przekonać, czy to wszystko nie było tylko dziełem wyobraźni, ale się wstydził Grzegorza, który mu właśnie dawał znak baczności, bo ze strony zarośli dał się słyszeć szelest gałęzi, wyraźnie sarny zbliżać się musiały. — Kazimierz poprawił strzelbę i czekał w niewzruszonej postawie.

Podczas tego w gęstwinie brzóz co ota-

czały czarny krzyż swemi konarami, jakiś człowiek z odwiedzioną bronią, z okiem utkwionym w młodego strzelca, był gotów, zdawało się, lada chwila wystrzelić, pot na jego czole występował zimny, a z ust wymykały się urwane słowa.

— Boże! pozwól mi dokonać zemsty — pozwól, niech syn mordercy mego ojca padnie ofiarą. — Cieniu drogiego ojca nieporuszony wspieraj mnie, w tem oto miejscu zginąłeś ze zdradzieckiej ręki.

— Znać wspomnieniami chciał sobie dodawać odwagi, lecz ręka jego drżała i wkrótce głowę opuścił ku piersiom, broń zniżył ku ziemi.

— Nie..... toby była podłość — i z temi słowy rzucił pistolet do strumienia, jakby chciał od siebie oddalić pokusę; na łoskot upadającej broni Kazimierz już chciał pobieżyć ku stronie krzyża, lecz w tej właśnie chwili usłyszał strzał Grzegorza, a z nim ostatni jęk upadającej sarny.

— Cóż u djabła Kazimierzu! — wołał stary myśliwy z daleka, z zarośli wychodząc — czemużeś nie strzelił? umyślniem się kilka sekund ze strzałem zatrzymał, abyś ty mógł ubić zwierzynę.

Kazimierz z roztargnieniem zbliżał się do zabitego zwierzęcia.

— Co za wyborny strzał — rzekł, opatrując sarnę — loftki przeszły przez łopatki.

— W istocie, jest panom czego powinszować — odezwał się głos trzeci tuż za niemi.— Kazimierz obrócił się z podziwieniem, a Grzegórz zmarszczył brwi gniewliwie, skoro w przybyszu poznał podróżnego, którego spotkał u krzyża.

— Pan jeszcze tutaj? zapytał przechodnia.

— Nie mogłem trafić do przewozu, zabłąkałem się trochę, widząc panów udających się tutaj, chciałem się zapytać o drogę, aleście stanęli na stanowisku, nie chciałem przeszkodzić, stanąłem opodal, ale i tak, dodał, obracając się do Kazimierza mimo mej woli strąciłem kamień do wody i może tem przeszkodziłem panu do strzału, —jeżeli tak, to szczerze przepraszam.

Nieznajomy mówił z taką pewnością, tłomaczenie jego było tak naturalnem, że obu myśliwym nie podobna było wątpić o jego prawdziwości.

— O, nic wielkiego się nie stało, mówił Kazimierz z uśmiechem. Polowanie pomyślne, bo zwierzyna zabita. — No, o czem myślisz panie Grzegorzu — strzał był wyśmienity — a teraz trzeba wracać do domu — wszak pan będziesz łaskaw nam towarzyszyć, dodał, zwracając się do podróżnego.

— Ja..... z przyjemnością — odrzekł nieznajomy.

Kazimierz z przyjazną serdecznością podał mu rękę i dalej prowadził rozmowę.

— Może pan za złe weźmiesz moją ciekawość, ale daruj, że się spytam, czy tylko przypadkowo zatrzymałeś się w tych miejscach, które okropny wypadek pamiętnemi uczynił? — Pan Grzegórz mówił mi, że pana zastał modlącego się przy czarnym krzyżu....

Cień przy drodze stojących drzew ukrył wyraz, który przybrała twarz podróżnego na to nagłe zapytanie.

— Byłem w młodości w tych miejscach, odrzekł spokojnym głosem, chciałem im się przypatrzyć po tak długiem niewidzeniu... ale oprócz tego inny jeszcze powód mnie skłaniał, przyrzekłem przyjacielowi, z którym się znałem za granicą, że wróciwszy do ojczyzny odwiedzę te miejsca, że się pomodlę pod tym krzyżem; mój przyjaciel się zowie.... Stanisław Linowski.

— Stanisław Linowski, zawołał Kazimierz, nieubłagany wróg naszej rodziny. — Ach ten człowiek uczynił nam wiele złego,

rzucił potwarz okropną na mojego dobrego ojca.

— Bóg go osądzi — odrzekł zimno nieznajomy.

— O, on też po części temu nie winien — mówił dalej Kazimierz, ale jego krewni, a najbardziej stryj pułkownik, oni to pozwolili mu uwierzyć fałszywym wieściom, podniecali zemstę w jego młodem sercu. — O! to okropnie... gdzież jest teraz młody Linowski — nie uwierzysz pan jak los jego obchodzi nas wszystkich. Nie wiem czy panu wiadomo, że rząd skonfiskował dobra po kasztelanie. Ojciec mój kupił Wierzbnę, wieś w której mieszkał kasztelan, jedynie w tym celu, aby ją zwrócić młodemu Stanisławowi, pisał do niego parę razy, ale odpowiedzi nie odebrał.

O ile znam Stanisława Linowskiego, to sądzę go zanadto dumnym, aby miał cokolwiek od kogoś przyjmować.

— Ach ileż razy. mówił Kazimierz z wzruszeniem, pragnąłem poznać młodego Stanisława i pomówić z nim rozsądnie o wypadkach tak bolesnych dla nas obu.

Tą razą pan Grzegórz, który idąc opodal zdawał się uważnie słuchać rozmowy młodzieńców, zbliżył się i zawołał na wpół gniewnie: że też ty zawsze lubisz odnawiać te stare dzieje Kazimierzu, dajmy już raz pokój temu, co nas mogą obchodzić bajki rozgłoszone przez niegodnych ludzi.

Kazimierz opuścił głowę i wpadł w zamyślenie — tymczasem jego towarzysz od kiedy ku wsi zbliżać się zaczęli, z podwojonem zajęciem rozpatrywał się koło siebie. Zmrok nocny pokrywał cieniem twarz jego, na której się wybijały najrozmaitsze wzruszenia, często zwalniał kroku, aby zatrzymać się przy drodze, przyjrzyć się chatom, co z pochylonemi strzechami przeglądały z pomiędzy grusz polnych i płotów żywych — a kiedy wieś mijali i weszli na drogę prowadzącą do dworu, młodzieniec zdawał się wszelkich sił dobywać, aby pokryć wzruszenie i przybrać wyraz obojętny. — Kazimierz przerwał milczenie, odzywając się przyjacielsko:

— Pozwól pan, że w imieniu moich rodziców ośmielę się ofiarować mu w naszym domu gościnność, miło mi będzie, jeśli ją przyjmiesz i dowiedziesz, że nie odrzucasz przyjaźni, którą ci z serca przy pierwszem poznaniu ofiaruję.

— Całem sercem gotów jestem przyjąć twoją grzeczność, bo chciałbym cię przekonać, że sobie umiem cenić przyjaźń, którą mi dajesz.

Młodzi ludzie uścisnęli sobie ręce z tą prawdziwą serdecznością, co tak rychło powstaje w młodych nieskażonych sercach nieraz przy pierwszem zbliżeniu.

Na zakręcie drogi śród topoli mignęła biała sukienka i wkrótce głos słodki na wpół dziecinny odezwał się nieśmiało:

— Kaziu, czy to ty?

— Tak, to my Maryniu.

— Tak długo trwało to polowanie, mama była niespokojną — i mówiąc to młoda dziewica, przystępowała bliżej; w tem spostrzegła nieznajomego, zatrzymała się chwilę, na jej lica wystąpił lekki rumieniec, krzyknęła cicho, zwróciła się i pobiegła jak sarna spłoszona, znikając wkrótce śród drzew przydróżnych.

— Maryniu! Maryniu! — napróżno wołał Kazimierz. — To była moja siostra — dodał z uśmiechem, obracając się do swego towarzysza, który pogonił wzrokiem za uciekającą dziewicą — trochę dzika, zwyczajnie jak wiejska dziewczyna, ale dobra i lubią ją wszyscy we wsi jak anioła — i Kazimierz z braterską dumą zaczął wynosić przymioty swojej ładnej siostrzyczki.

Młodzieńcy minęli wrota i wchodzili na podwórze. — Podróżny wodził okiem koło siebie, wzrok często przenosił od białego nowego dworu do poczerniałych ścian sta-

rego pałacu, który się wznosił w końcu ogrodu pomiędzy ciemnemi świerkami. — W zamyśleniu swojem nie spostrzegł starca wyniosłej postaci, o siwych włosach, który schodząc z ganku, postępował naprzeciw przybyłym, dopiero gdy Kazimierz przedstawiając podróżnego, wyrzekł:

— Mój ojciec.

Młodzieniec wyraźnie zadrżał na te słowa, a po chwili jakby zbierając całą moc duszy, odpowiedział po kilku urywanych słowach na uprzejme wyrazy gospodarza — tylko w swojem roztargnieniu zdawał się nie uważać, jak starzec z wiejską szczerotą podawał mu rękę.

W pokoju skromnie a czysto urządzonym siedziała pani domu w podeszłym wieku, w jej twarzy zoranej zmarszczkami przebijała się dobroć i łagodność, przy bliższem dopiero przypatrzeniu uderzały jej oczy nieruchome w jednę zwrócone stronę; — biedna staruszka była niewidomą — tuż przy niej stała szesnastoletnia Marynia z oczami spuszczonemi, niekiedy rzucając nieśmiałe spojrzenia ku drzwiom, w które właśnie wchodził ojciec z bratem i gościem.

Staruszka powstała. — Niech pan wybaczy — rzekła miłym głosem — starej niewidomej, która go nie może przyjąć tak jakby chciała, niemniej jednak miłe nam jest przybycie pańskie w dom nasz.

Młodzieniec skłonił się, obraz tej rodziny tak prostej, tak patryarchalnej — tej matki niewidomej — córki tak anielsko-pięknej, musiał na nim uczynić wrażenie, bo mimowolnie zmarszczył czoło i wzrok jego zachmurzył się od przelotnego żalu, dopiero gdy ujrzał w końcu sali dwoję ponurych oczu pana Grzegorza utkwione w siebie z ciekawym wyrazem, stłumił wzruszenie i zaczął obojętną rozmowę o polowaniu dzisiejszem. — Wkrótce rozmowa stała się powszechną i ożywioną. — I przy wieczerzy młodzieniec, który wszelkich dokładał starań, aby się podobać rodzinie, co go tak mile przyjęła — już był tak zbliżony do wszystkich, jakby się znał od dawna i był codziennym gościem. — Tylko pan Grzegórz nie podzielał ogólnej rozmowy, patrzał niekiedy ukradkiem i w milczeniu pokręcał szpakowate wąsy. Zanim wstano od stołu, już młodzieniec zobowiązany uprzejmością starego Jastrzębskiego i zaproszeniami Kazimierza musiał przyrzec, że parę dni w Wierzbnej zabawi, a ta obietnica z jego strony widocznie uradowała całą rodzinę.

Pora była spóźniona — niedługo przyszło do pożegnań i życzenia dobrej nocy. — Kazimierz zbliżył się do swego nowego przyjaciela.

— Kochany Bohdanie (bo tak się kazał nazywać) nasz domek wiejski nie bardzo obszerny, przeznaczono ci pokój w pałacu, musisz wybaczyć i przyjąć jaki jest; jeśli pozwolisz, to cię zaprowadzę.

Obaj wyszli do ogrodu i przez szpaler ciemny grobowy zbliżali się do pałacu, który na niewielkiem wzgórzu pośród lip i świerków starych stał tyłem obrócony ku rzece. — Było coś smutnego, posępnego w widoku tych murów starych, tych okien na wpół wybitych, pozastawianych deskami.

— Od czasów kasztelana — mówił Kazimierz, wstępując na obszerny ganek, podparty kamiennemi filarami — pokoje i sprzęty zostały tak, jak były za jego życia. — Ojciec mój nie kazał nic ruszać, jeśli młody Linowski kiedy powróci, to wszystko znajdzie w dawnym stanie — no, otóż wchodzimy do sieni — tu na dole gdzie drzwi otwarte to twoja kwatera. — Dobranoc ci — musisz być bardzo zmęczony, na twarzy twojej widać znużenie — no, śpij dobrze — i wybiegł nucąc piosenkę.

Młody podróżny został sam w komnacie, oczy jego zwróciły się ku ścianom z wzruszeniem, którego już teraz ukrywać nie potrzebował. — Była to widać kiedyś izba

jadalna, w kącie stał przy drzwiach zegar staroświecki, naprzeciwko biórko wysokie z kilku zapylonemi książkami, po ścianach kontuszowe wąsate postacie snać przodków kasztelana, nad kominkiem wisiał Puławski w konfederackiej czamarze obok Kościuszki w sukmanie. Młodzieniec zwracał się kolejno do wszystkich przedmiotów i wszystkie witał kolejno jak dawne znajome. — Poszedł ku drzwiom co prowadziły do dalszych pokoi, szybko chwycił za klamkę, lecz drzwi były zamknięte i stał niewzruszony z bijącem sercem przez długą chwilę, potem bezsilny upadł na łóżko i wyrzekł z westchnieniem: ta zemsta drogo kosztować mnie będzie.

Ciąg dalszy nastąpi.

# Nawrócenie oficera

## za pośrednictwem Najświętszej Maryi Panny.

Pewnego pięknego wiosennego dnia 1854 r. młody oficer jeneralnego sztabu wstępował na górę La Salette. Nie pobożna myśl nim kierowała, gdyż oddawna był tylko z imienia chrześcianinem, ale przechodząc z wojskiem tamtędy, słyszał o pielgrzymkach, widział wielu pątników i postanowił z ciekawości także ową górę nawiedzić. Gdy wyszedł na płaszczyznę, będącą na wzgórzu, ogarnął wzrokiem przestrzeń i pojąć nie mógł, skąd ta pustelnia, gdzie nic nie przemawiało do jego serca i wyobraźni, mogła mieć tyle sławy. Pytał sam siebie, kto mu wynagrodzi przykrą drogę na górę? Wreszcie znudzony, chciał już powracać, ale pomyślał sobie, jako prawdziwy francuzki rycerz, że przecież grzeczność wymaga, by przełożonemu Misyonarzy złożył wizytę. Przyszedł tedy do niego i powiada: ,,Wielebny Panie, ciekawość sprowadziła mnie tu na górę. Jestem tu już blizko godzinę, ale że już nic mnie więcej nie zatrzymuje, postanowiłem zaraz do oddziału wrócić. Wszakże uważałem za obowiązek złożyć me uszanowanie przełożonemu tego domu i to jest cel mej wizyty''. Po dziesięciu minutach rozmowy o rzeczach obojętnych, oficer chciał się pożegnać. Wówczas przełożony go zapytał: ,,Czy widziałeś Pan wszystko, co tu pielgrzyma może interesować?'' — ,,Zdaje mi się'', odpowiedział. — ,,A cudowne źródło, czy widziałeś Pan?'' — ,,Cudowne źródło? Nie! a gdzież ono jest?" — ,,Ot tu w dole, patrz Pan...." i ukazał mu z okna miejsce, gdzie Maryi źródło płynęło, a potem dodał: ,,Nie odchódź Pan ztąd, nie nawiedziwszy tego małego źródła i napij się Pan dla zrobienia mi przyjemności szklankę tej cudownej wody, zaręczam Panu, że nikomu nie zaszkodziła, a niejednemu wiele dobrego zrobiła". — ,,Jeśli to Panu zrobi przyjemność, chętnie szklankę tej wody wypiję", powiedział młody człowiek i z całą grzecznością się pożegnał. Przełożony Misyonarzy nie zwracał nań więcej uwagi i sądził, że już dawno odjechał, gdy nad wieczorem ktoś przychodzi i oznajmia mu, że oficer, który tego poranku wbrew swej woli został zatrzymany na górze, na której miał tylko godzinę zabawić, zalany łzami klęczy przed obrazem Najśw. Maryi Panny w kaplicy i prosi o spowiedź.

Trudno sobie wyobrazić, mówi zacny Misyonarz, jaka radość ogarnęła me serce, gdym zobaczył zbliżającego się owego marnotrawnego syna. ,,Ojcze!" powiedział mi, ,,widzisz przed sobą wielkiego grzesznika... o jak wielki ciężar mnie przygniata!...... muszę go usunąć.... od czasu jak wypiłem szklankę wody ze źródła, poczułem zmianę w całej swej istocie i nie będę miał spokoju, dopóki z Bogiem się nie pojednam". Najpokorniejsza, pełna obfitych łez żalu spowiedź, zakończyła ten piękny dzień. Dnia następnego widziałem młodego oficera, na




Szkic na pomnik dla Tadeusza Kościuszki wykonany przez artystę-rzeźbiarza p. Kaź. Chodzińskiego z Krakowa.

Pomnik ten ma stanąć w jednym z parków publicznych miasta Chicago.

którego piersiach jaśniał krzyż honorowy, klęczącego u Stołu Pańskiego, a łzy płynęły mu po obliczu, gdym drżącemi ze wzruszenia rękoma Ciało Pańskie na jego języku składał.

Po kilku godzinach odjechał pełen wesela i wdzięczności. Nawrócenie jego było o o tyle stałe, o ile szczere. Zanadto miał wiele męztwa, by się lękał ludzkich względów i z odwagą do tego się przyznał, gdy wrócił do pułku, którego odtąd został apostołem. Pewien Jezuita przybywszy po roku na świętą górę, ucieszył przełożonego Misyonarzy, gdy mu powiedział: ,,Pański oficer M. N. jest zbudowaniem całego miasta. Jest prawdziwym apostołem, a pomiędzy swymi towarzyszami broni więcej robi dobrego, niźlibyśmy sami zrobić potrafili‘‘.

## NAJWIĘKSZE NIESZCZĘŚCIE.

Carogrodzki cesarz Arkadyusz, które był heretykiem, nadzwyczaj nie cierpiał św. Jana Chryzostoma. Raz będąc w największym gniewie, tak rzekł do swoich dworzan: ,,O gdybym to mógł wywrzeć moją zemstę na tym biskupie!‘‘ Usłyszawszy to zausznicy, zaraz poczęli doradzać. ,,Wypędź go‘‘, mówił jeden, ,,aby ci się nigdy nie pokazał na oczy!‘‘ ,,Skonfiskować mu jego dobra!‘‘ zawołał drugi. ,,Skuć go w kajdany‘‘, wtrącił trzeci, ,,i wtrącić do więzienia!‘‘ ,,Czyż nie jesteś władcą? pyta cesarza czwarty, ,,każ go zabić, a pozbędziesz go się na zawsze!‘‘ Słysząc te i tym podobne rady, powstał wreszcie jeden z nich, który miał więcej rozumu od tamtych w głowie, i tak się odezwał: ,,Mylicie się, moi panowie! To coście mówili, nie są żadne środki, by się módz na nim zemścić. I tak gdzież go skażecie na wygnanie, kiedy cała ziemia jest jego ojczyzną? Zabierzecie mu dobra, to nie jemu uczynicie krzywdy, jeno ubogim. Jak się dostanie do więzienia, będzie całował okowy, ciesząc się i uważając za szczęśliwego, że mu się trafiła sposobność cierpieć dla Chrystusa, jego Boga. A gdy go zabijecie, to mu tylko otworzycie drogę do nieba. Otóż na nic to wszystko, mój Najjaśniejszy Panie, co mówili ci panowie! Jeżeli tedy idzie o zemstę, to będzie nią to, gdy go zmusisz do grzechu. Ja go znam bardzo dobrze. On niczego bardziej na tym świecie się nie obawia, jak tylko grzechu!‘‘

Zapamiętajże sobie, mój miły Czytelniku, dobrze tę historyę, ucząc się z niej, że jedynem i największem złem na świecie jest grzech. W grzechu bowiem nie możemy dostać się do nieba, tej naszej właściwej ojczyzny; w grzechu bowiem nie będziemy nigdy oglądać Pana Boga, tego jedynego przedmiotu naszego szczęścia. ,,Uciekajże więc przed grzechem, jako przed wężem!‘‘

## Marya, wspomożenie chrześcian.

Kiedy w r. 1231 nieprzeliczone hordy Mongołów splądrowawszy Polskę i Szląsk, dotarły do Czech i do Morawy i zatrzymały się pod Ołomuńcem, wtedy Jarosław Sternberg, jeden z potomków sławnej i starodawnej familii czeskiej hrabiów Sternbergów, z niewielką garstką, bo liczącą zaledwie tylko 8000 ludzi, odparł daleko liczniejszego nieprzyjaciela i ufny w miłosierdzie Boskie i pomoc Najświętszej Maryi Panny uratował ojczyznę od zguby.

Było to właśnie podczas upalnych dni miesiąca czerwca 1241 r., kiedy chrześciańskie wojska zebrały się na górze Hostajnow, szykując się do ostatecznej obrony przed nawałą zaciekłego wroga. Bieda była wielka; nie było kropli wody, aby ugasić palące pragnienie, wszyscy byli znużeni, a rozpacz poczęła się już nawet chwytać i najwaleczniejszych, przez co lada chwilę groziło straszne niebezpieczeństwo. Wśród tak krytycznej chwili, wszystko co żyło, pobiegło do niedaleko znajdującej się kaplicy, aby u stóp Matki miłosierdzia wybłagać opiekę i pomoc przeciw pohańcowi i zarazem wyprosić choć kroplę wody dla spieczonego podniebienia. I oto! — za chwilę pokazuje się mała chmurka, wiatr poczyna dąć, słychać jak już grzmi coraz silniej, niebo pokryło się czarnemi jak noc chmurami, poczem wśród błyskawic lunął nader obfity deszcz, który dostarczył tak upragnionego napoju i powietrze odświeżył. Gdy się tak wszyscy orzeźwili i pokrzepili, uderzyli w Imię Pańskie na wroga, którego pokonali i ojczyznę od grożącej jej zagłady oswobodzili.

Tak to Pan Bóg nie opuszcza tych, którzy w Nim ufność pokładają, błagając Go o pomoc za pośrednictwem Najświętszej Maryi Panny.

# PRZYJACIEL DZIECI.

*Następne stronice poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczać będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiastki moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dziatwę kochaną, aby po Bogu nadewszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.*

## MORDERCA LALEK.

Morderca lalek! Jakże przyszedł mały strzyczce nowe zabawki. Chłopczyk spacerując po izbie w wspaniałym kapeluszu o wysokiem piorze i z dobytym pałaszem, uwa-



Piotruś do tego niepięknego nazwiska? Poniżej opowiem wam to, kochane dziatki. Ojciec przyniósł mu i młodszej od niego sio żał siebie za prawdziwego rycerza, podczas gdy siostrzyczka siedząc spokojnie na podłodze, bawiła się lalkami. Wnet rycer-

ski animusz opanował młode jego serce i Piotruś szuka oczyma przedmiotu, na którymby mógł swej waleczności doświadczyć. Napróżno jednak oglądał się za nieprzyjacielskim żołnierzem. Wtedy rzuca się z dobytym pałaszem na bawiącą się siostrzyczkę. Broń zabłysła w powietrzu i głowa lalki pada na podłogę potłuczona na kawałki. Siostrzyczka podnosi się przestraszona i mocno strapiona płacze, bo boli ją strata. Matka pociesza nieszczęśliwe dziecko, a Piotruś za karę musi klęczeć przed potłuczoną lalką. Gdy ojciec nadszedł i słyszał, jakiego bohaterskiego czynu dokonał Piotruś, odebrał mu pałasz i zamknąwszy go w szafce rzekł: "Dopóki nie przyjdziesz do przekonania, że prawdziwy żołnierz nie powinien swej ochoty do walki probować na bezbronnych lalkach i małych dzieciach, nie wolno ci nosić żadnej broni, *ty morderco lalek!*

# NALDO

## przekład z oryginału angielskiego.

Ciąg dalszy.

W połowie zimy, gdy nawet w San Stefano chłód się czuć dawał, ojciec Nalda zachorował niebezpiecznie. Wkrótce potem złożono go na wieczny spoczynek na małym cmentarzu wiejskim, a śnieg okrył świeży grób białą, puchową powłoką. Nasz biedny Naldo był bardzo smutny, chociaż dzieci nie rozumieją jeszcze co tracą, gdy im ojciec umrze, świadomość ta przychodzi dopiero z wiekiem.

Naldo był tylko małym chłopczykiem, to też gdy z wiosną zakwitły kwiaty i rozległ się na nowo śpiew ptasząt, a cały świat wyglądał jasno, wesoło, świątecznie — zapomniał o smutku, śmiał się i bawił i zajadał kukurydzę z dawnym apetytem. Bo zresztą, czyż ojciec jego nie odszedł do piękniejszego, szczęśliwszego kraju, powołany tam przez samego Boga i czyż to nie święci i aniołowie opiekowali się nim teraz? Naldo był o tem przekonany i dlatego całem sercem oddawał się niewinnej radości.

Pewnego razu zmęczony bieganiem, zasnął Naldo pod cieniem rozłożystego buka. Wygodnie mu tam było na miękkiej trawie, to też obudziwszy się po niejakim czasie nie wstał od razu, ale marzył, leżąc. W czasie choroby ojca smutny i starający się wyręczyć matkę, o ile na to pozwalały jego słabe siły, zapomniał o dalekich krajach i cudach, które się znajdowały na wielkim świecie, lecz teraz myślał znowu o tem wszystkiem, a przygasła chęć zobaczenia tych dziwów, o których mówił obcy człowiek, zbudziła się w nim na nowo.

— Oh! — westchnął wreszcie głęboko, gdybym to ja już był dorosły i mógł podróżować.

— Dlaczegoż nie miałbyś podróżować teraz, chociaż nie jesteś jeszcze dorosły? — przemówił jakiś głos tuż za nim. Naldo obrócił się szybko i spostrzegł człowieka, którego nie widział jeszcze nigdy w życiu. Nie był on wcale podobny do owego obcęgo, o którym wspomniałem przedtem, gdyż tamten był cudzoziemcem, ten zaś miał na sobie wieśniaczy, ale wykwintny ubiór i mówił po włosku tak samo, jak i Naldo. Mógł mieć około lat pięćdziesięciu, włosy jego były przypruszone siwizną, oczy miał małe, ale przenikliwe, na ustach zaś błądził dziwny uśmiech. Niósł z sobą katarynkę, na której siedziała małpa w czerwonym kaftanie.

— Ach, jakież śliczne zwierzątko — zawołał Naldo, który bardzo lubił wszystkie zwierzęta. — Panie — mówił dalej, zwracając się do obcego — nie wiem kim pan jesteś, a pan mnie nie znasz, nic też dziwnego, że mnie pytasz, dlaczego nie mogę teraz podróżować. Mam zaledwie dziesięć lat i mu-

szę pomagać mojej matce, która nie ma więcej nikogo na świecie.

Naldo nie widział jeszcze nigdy w życiu katarynki i małpy, to też przypatrywał się obojgu z zajęciem. San Stefano było tylko maleńką wioską i leżało zdala od głównego gościńca; zdaje się, że nieznajomy dlatego właśnie tam zaszedł, chciał on bowiem dwóch rzeczy: zarobić kilka soldów graniem na katarynce a przypuszczał, że łatwiej mu to przyjdzie w takiem miejscu, gdzie jego instrumenta nie znano, a powtóre chciał znaleźć jakiego ładnego chłopczyka na towarzysza swych wędrówek, o co również łatwiej było we wsi, oddalonej od głównej drogi, gdyż w miastach wszyscy wiedzieli dobrze, że życie kataryniarza nie należy do najszczęśliwszych.

— Ojciec mój jest w niebie, a matka nie może się obejść beze mnie — dodał jeszcze Naldo z zamyśleniem.

Nie mogę wstrzymać się od uwagi, że małe oczki nieznajomego żywiej zajaśniały na te słowa: "ojciec mój jest w niebie."

— Jeżeli twój ojciec umarł, mój chłopcze, to już nic nie powinno cię zatrzymywać w domu; toż przecie nie trudno dla takiego chłopca, jak ty, uzyskać pozwolenie matki na spełnienie najmilszych pragnień. A czyż nie chciałbyś zarabiać pieniędzy i jej przysyłać? Mnie się zdaje, że tak. Teraz posłuchaj mię. Nazywam się Antonio, w tej tu skrzynce jest śliczna muzyka. Otóż ja chodzę sobie po świecie, gram panom i paniom, małpa pokazuje im różne sztuki. Posłuchaj tylko.

I Antonio pokręcił korbą swego instrumentu, z którego dobyła się melodya znanej piosnki "Adeste Fideles."

— Ach, jakież to prześliczne — zawołał Naldo zachwycony — a jak pan musisz być mądrym....

Antonio nie był tak wielkim człowiekiem, aby pochwała nie miała mu się podobać.

— Otóż — mówił dalej — panowie i panie słysząc tak piękną muzykę, dają mi dużo pieniędzy, biedni dają soldy, które ja zawsze przyjmuję, bo z nich tworzą się z czasem liry. Naprzykład, włóż centa małpie do ręki, a ona zaraz ci pokaże wszystkie swoje sztuki.

— Nie mam ani centa — odrzekł zawstydzony Naldo.

Antonio zdawał się nie słyszeć tego i ku wielkiej uciesze Nalda, kazał małpie rozpocząć przedstawienie.

Tak rozmawiając, zbliżali się ku wiosce, układając, że jeżeli Brygida pozwoli, wybiorą się razem w dalszą podróż, do nieznanych a pięknych miast, po roku zaś Naldo wróci do San Stefano i przyniesie dużo pieniędzy, za które będzie można zakupić chleba na długo. Obmyślili wszystko wybornie! Naldo postara się o jaki instrument muzyczny i o białe myszki, które prędko się z nim oswoją.

Brygida sprzeciwiała się temu planowi z początku. Jakże się ona będzie mogła obejść bez ukochanego dziecięcia przez cały rok — bez tego dobrego, ślicznego dziecka, które jej nigdy nie zmartwiło i owszem sprawiało jej zawsze pociechę, a od śmierci ojca opiekowało się nią tak czule.

— Mateczko najdroższa — przekładał Naldo — toż to tylko na jeden rok, a pomyśl tylko, jakie ja śliczne rzeczy zobaczę, a tak, gdybyś mi nie pozwoliła iść teraz, mógłbym umrzeć i nie widzieć tego wszystkiego. Zresztą i jedzenia więcej zostanie dla ciebie, a za powrotem przyniosę dużo pieniędzy; jeżeli mi się to nowe życie spodoba, kupię sobie katarynkę i będę wędrował po świecie, ale zawsze wrócę do ciebie mateczko i do Madonny w San Stefano.

Biedna Brygida! nie chciała mówić przy obcym, że nie wiele żywności zostaje na zimę, winogrona bowiem nie obrodziły

tego roku, nie miała co sprzedać, aby dostać pieniędzy: mogłoby więc braknąć chleba. A chłopiec tak pragnął iść, Antonio obiecywał, że będzie dobrym dla niego, bo i któż zresztą nie byłby dobrym dla tak pięknego i grzecznego dziecka. Brygida wbrew własnej woli, dała na końcu pozwolenie. Bóg jeden tylko wiedział, ile kosztowało ją rozstanie z ukochanym synem. Umówiono się że Antonio przyjdzie po Nalda do San Stefano za kilka dni, przyniesie białe myszy i ubranie, oraz d Brygidzie 20 lirów, aby mogła lepiej zaopatrzeć ubogą spiżarnię na zimę.

Tymczasem Naldo przystąpił do pierwszej komunii, serce matki bowiem drżało na myśl o niebezpieczeństwach i pokusach, na jakie jej syn miał być narażonym i dlatego chciała, aby duszyczka jego posiliła się Najświętszem Ciałem i Krwią Chrystusa Pana.

O, niemądre ptaszęta, dlaczego wam tak spieszno opuszczać gniazdka, zabezpieczające was od burz i deszczu, gdzie rodzice pełni miłości, czuwają nad wami? O, jeszcze bardziej nieroztropne d ieci, dlaczego tak pilnie chcecie dom opuścić i zwiedzać świat?

Takiej przyjaciółki, jak wasza matka, nie znajdziecie nigdzie. A na świecie, pięknym z natury, ileż to złych i niegodziwych ludzi, ileż to niebezpieczeństw dla was!

Naldo nie wiedział nic o tem wszystkiem, był bardzo szczęśliwy, że czeka go nowe, nieznane życie; wieczorem jednak, przed opuszczeniem San Stefano, dziwny o panował go smutek. Wyszedł na pagórek i spoglądał w cichą dolinę. Zachodzące słońce ozłacało i różowiło wszystko, a liście więdnące już, wydawały się, jakby ciemną, czerwoną barwę od nieba pożyczyły — może dlatego liście są tak piękne w jesieni! O podal, w dolinie stał kościółek wiejski, a słońce ostatniemi promieniami zdawało się całować krzyż, na jego wieżyczce wzniesiony. W połowie drogi, między kościołem a pagórkiem, stała chata Brygidy, z komina jej wił się ku niebu błękitnawy pas dymu, to matka Nalda przygotowywała pożywienie na drogę dla syna. Biedny chłopiec teraz dopiero zrozumiał, jakto boleśnie rozstawać się z ukochanymi, było mu ciężko na sercu, łzy napływały do oczu. Otarł je jednak rękawem i pędem puścił się ku domowi.

Po kolacyi udała się Brygida wraz z synem do kościoła; uklękli obok siebie przed cudowną Madonną i modlili się o jedno i to samo, ale każde inaczej: „Daj mi być dobrym i dzielnym, a po skończonej podróży, przyprowadź szczęśliwie do domu" — prosił Naldo. — „Miej chłopca mego w swej świętej opiece, zachowaj go w niewinności i przyprowadź jak najprędzej znowu do matki, która go tak bardzo kocha" — modliła się Brygida.

A królowa niebios słuchała tych serdecznych modłów syna i mątki.

## II.

*W wigilię Bożego Narodzenia.*

Była to wigilia Bożego Narodzenia. W jednem z wielkich miast północnych Niemiec panował ruch niezwyczajny; wszyscy spieszyli, a każdy z przechodniów niósł jakąś paczkę — twarze wszystkie były rozjaśnione i ożywione uśmiechem, który miłym czynił nawet zwykłego, prozaicznego, tłuściutkiego obywatela. Oto zakupywano ozdoby na „drzewko". Wystawy sklepowe zapełnione były rozmaitymi przedmiotami, które zdawały się same prosić, aby je kupowano. Musiały one skusić tego człowieka, który pod ubogim swoim płaszczem ukrywał jakieś zawiniątko bardzo ostrożnie, a w zawiniątku tym było dużo orzechów, jabłek, pierników, przedstawiających rycerzy na koniach, króliki, zające i inne zwierzątka.

Ciąg dalszy nastąpi.

# ZGON SIEROTY.

Cały cmentarz płonie morzem świateł, jest to bowiem dzień zaduszny, dzień, w którym wszyscy udają się na cmentarz, aby pomodlić się na grobie swoich najdroższych, których utracili i na znak, że pamiętają o nich, zaświecają na grobach lampki.

Wszędzie tlumy ludzi, jedni odchodzą, drudzy przychodzą, słowem ruch olbrzymi. Godziny upływają, tłum zaczyna się nieco przerzedzać, światła gdzieniegdzie gasną, po niejakiem czasie już tylko pojedyńcze gromadki odchodzą z cmentarza, a w końcu miasto umarłych przybiera dawny swój wygląd. Nigdzie nie ma żywej duszy, bramę zamknięto, nikt nie czuwa, nawet stróż cmentarny zasnął....

Tylko tam na górze w drugiej części cmentarza zdala od zbytkownych pomników, tam gdzie tylko biedaków chowają, pod skromnym krzyżem klęczy młoda dziewczyna i zalewa się łzami. To biedna sierota płacze nad grobem swej matki, którą utraciła niedawno, błaga Boga by skrócił jej męczarnie i dał jej jak najprędzej połączyć się z matką na tamtym świecie. Z jej ust wyrywają się słowa: ,,Matko! moja droga matko! zabierz mnie tam, do siebie, nie zostawiaj mnie samej między obcymi ludźmi na pastwę nędzy i rozpaczy!‘‘ Błaga, modli się i płacze, wreszcie osłabiona pada na grób zemdlona. Opanowuje ją silna gorączka, zaczyna majaczyć. W swej wyobraźni widzi matkę otoczoną aniołami, która wzywa ją do siebie, daremnie usiłuje podnieść ręce do niej, te opadają bezwładnie, powtarza tylko słowa: ,,Matko! zabierz mnie do siebie!‘‘— Wówczas słyszy jej głos: ,,Córko moja czekaj cierpliwie; Bóg zlituje się nad tobą i wkrótce zabierze cię z tego padołu płaczu, a wtedy ja będę cię mogła przycisnąć do piersi i rzec: ,,Mam cię moje drogie dziecko znowu przy sobie‘‘. Następnie słyszy znowu cudowną muzykę i widzi przechodzące dusze umarłych, widzi swego ojca, który jej błogosławi, widzi brata, starszą siostrę, swoje zmarłe znajome koleżanki i rówieśnice. Wreszcie widzi zmarłego księdza proboszcza, który ją uczył katechizmu jeszcze wtedy, gdy była na wsi i uczęszczała do szkółki, słowem widzi wszystkich zmarłych znajomych. Po chwili widzi Trójcę św. — Bóg Ojciec i Chrystus Pan siedzą na tronie w otoczeniu niezliczonych chórów anielskich, a nad niemi wznosi się Duch św. w postaci gołębicy — całkiem tak jak to widywała na obrazkach. W chwilę później widziadło znowu się zmienia. Już nie widzi Trójcy świętej i chórów anielskich, tylko olbrzymi krzyż, który z każdą chwilą zdaje się przybliżać, zdaje się jej, że lada moment na nią spadnie. Na ten widok drgnęła mimowolnie przez sen tak, że sukienka jej dotknęła palącej się lampki....

Po chwili zajęła się cała sukienka, ona uczuła straszny ból i odzyskała na chwilę przytomność. Spostrzegłszy, co się święci, chciała wołać ratunku, jednak nie mogła głosu wydobyć z siebie. Wstała, przebiegła kilka kroków, lecz padła znowu, jeszcze kilka konwulsyjnych drgnięć i koniec. Dusza jej uleciała tam, gdzie pragnęła, aby połączyć się z matką na wieki.

Nazajutrz znaleźli grabarze na wpół zwęglone jej zwłoki. Zrazu nie poznano nawet, czyje, gdyż twarz była prawie zupełnie zwęglona, później gdy ją poznano, wykopano grób tuż obok matki i tam złożono jej zwłoki. Przyjaciółki zmarłej zasadziły na jej grobie bluszcz, który później rozrósł się i połączył oba groby, jakby na znak, że w nim spoczywa córka, która matkę tak kochała, że na jej grobie znalazła śmierć.